



G.K.Chesterton

DRZEWA PYCHY

i inne opowiadania

FRONDA

DRZEWA PYCHY

i inne opowiadania

[Kup książkę](#)

G.K. Chesterton

DRZEWA

PYCHY

i inne opowiadania

przełożyła Magda Sobolewska

FRONDA

[Kup książkę](#)

Projekt okładki Anna Kierzkowska
Dyrektor projektów wydawniczych Maciej Marchewicz
Tłumaczenie Magda Sobolewska
Korekta i redakcja Małgorzata Terlikowska
Skład i łamanie Point PLUS

Copyright © for the Polish translation by Magda Sobolewska
Copyright © for the Polish edition by Fronda PL, Warszawa 2016

ISBN 978-83-8079-076-6

WYDAWCA

FRONDA

Frona PL, Sp. z o.o.
ul. Łopuszańska 32
02-220 Warszawa
Tel. 22 836 54 44, 877 37 35
Faks 22 877 37 34
e-mail: fronda@fronda.pl
www.wydawnictwofronda.pl
www.facebook.com/FronaWydawnictwo
https://twitter.com/Wyd_Frona

SPIS TREŚCI

Drzewa pychy	7
Zwariowana opowieść	86
Drewniany miecz	95
Dwie gospody	112
Namalować wtorek	115
Dziwny Anglik	120
Jak znalazłem Nadcześnika	125
Babcia smoka	130
Legenda o św. Franciszku	136
Legenda o mieczu	139
Drugi cud	142
Nawrócenie antychrysta	144
Smok i zabawa w chowanego	155
Prawdziwe odkrycie niedoszłego odkrywcy	164
Raj ludzkich ryb	171
Wielka konsolidacja	177
O świeckiej edukacji	179
Sklep pełen duchów	182
Wielka ryba	188
O prywatnej własności	194
Słupy telegraficzne	197
Ujemne strony posiadania dwóch głów	202
Morderstwo „Pod Białymi Kolumnami”	205
Koniec mądrości	222

DRZEWA PYCHY

I.

Opowieść o pawich drzewach

DZIEDZIC VANE BYŁ podstarzałym uczniakiem wykształconym w Anglii, a pochodzącym z Irlandii. Angielska edukacja w jednej z najlepszych prywatnych szkół zakonserwowała jego intelekt w doskonałym i niezmiennym stanie lat chłopięcych. Ale irlandzkie pochodzenie podświadomie burzyło w nim układną powagę starego chłopca i czasem przywracało mu weselszy wygląd urwisa. W jego ciele czaiła się niecierpliwość, która płatała mu figle niemal wbrew jego woli i z powodu której zdążył już ponieść aż nazbyt spektakularną porażkę w służbie cywilnej i dyplomacji.

Na przykład – choć kompromis jest naprawdę podstawą brytyjskiej polityki, zwłaszcza jeśli chodzi o bezstronne traktowanie różnych religii indyjskich – staranie Vane’a, by spotkać się z muzułmanami w pół drogi i zrzucić tylko jeden but przed bramą meczetu, odbierane było nie tyle jako przejaw prawdziwej bezstronności, ile jako coś w rodzaju agresywnej obojętności. Prawdą jest też, że żaden angielski arystokrata nie potrafił do końca wczuć się w stanowiska obu stron, jeśli idzie o spór między rosyjskim Żydem a prawosławną procesją z relikwiami; ale pomysł Vane’a, żeby procesja poniosła także Żyda, który sam jest czcigodną relikwią przeszłości, spotkał się z powszechnym niezrozumieniem. Krótko mówiąc, był to człowiek, który szczególnie szczylił się swoim sensownym zachowaniem; miało to ten skutek, że

stale postępował nonsensownie. Robił takie wrażenie, jakby stawał na głowie tylko po to, by udowodnić, że twardo stąpa po ziemi.

Dziedziec właśnie skończył obfite śniadanie, spożywane w towarzystwie córki przy stole pod drzewem, w jego własnym ogrodzie na kornwalijskim wybrzeżu. Jako właściciel doskonałego krążenia upierał się bowiem, by jak najwięcej posiłków jadać na dworze, chociaż wiosna dopiero muskała okoliczne lasy i ledwie zaczynała ogrzewać okalające południowy cypel Anglii morze. Jego córka, Barbara, urodziwa dziewczyna o ciężkich, rudych włosach i twarzy poważnej jak u ogrodowej figury, siedziała przy stole niemal tak nieruchomo jak figura, kiedy jej ojciec wstał. Elegancki, wysoki, w jasnym ubraniu, o dość pogodnej, wąsatej twarzy okolonej rozwianymi białymi włosami, jako że szerokoskrzydłą panamę trzymał w ręku, przeciął tarasowato opadający ogród, zszedł po schodach obrzeżonych starymi kamiennymi wazami ku leśnej ścieżce wśród młodych drzew, a stąd do drogi biegnącej zakosami po splekanej ścianie klifu na brzeg morza, gdzie miał przywitać przybywającego morzem przyjaciela. Jacht stał już w błękitnej zatoce i Vane widział łódkę zbliżającą się do małego kamiennego mola.

A jednak w czasie krótkiego spaceru pomiędzy zieloną murawą a żółtą plażą temu trzeźwo myślącemu człowiekowi pisane było napotkać coś, co wprawilo go w stan ducha popularnie określanego jako zacierzewienie. W istocie bowiem kornwalijskich chłopów, z których wywodzili się jego dzierżawcy i służba domowa, trudno byłoby określić jako ludzi sensownych. Niestety! Często zachowywali się nonsensownie i dziedziec miał wrażenie, że ludzie ci – z ich duchami, czarownicami i tradycjami sięgającymi czasów Merlina – otaczają go zaczarowanym kręgiem nonsensu. Ale ten magiczny krąg miał jeden punkt zaczepienia; pokrętne rozmowy wieśniaków zawsze obracały się wokół jednej osi. Oś ta kłuła dziedzieca niemiłosiernie i nawet

w czasie krótkiego spaceru potykał się o nią co krok. Przed zejściem po kamiennych stopniach z trawnika zatrzymał się, żeby porozmawiać z ogrodnikiem o egzotycznych krzewach, które miały być posadzone w donicach. Ogródnik zaś, z ponurą przyjemnością widoczną w każdej bruździe szorstkiej śniadej twarzy, skorzystał z okazji, by wyrazić swoją niepochlebną opinię o egzotycznych krzewach.

– Lepiej, żeby się jaśnie pan pozbył tych krzaków, co już je ma – zauważył, kopiąc zawzięcie. – Dopóki tu są, nic nie rośnie jak trzeba.

– Krzaki! – odparł dziedzic ze śmiechem. – Chyba nie nazywacie pawich drzew krzakami! To piękne, wysokie drzewa, powinniście być z nich dumni.

– Złe ziele szybko rośnie – zauważył ogrodnik. – Zielska mogą wyrosnąć jak domy, kiedy ktoś je sadzi. – A potem dodał: – Ten, co w Piśmie Świętym nasiał kąkol, jaśnie panie.

– Niech diabli porwą to wasze... – zaczął dziedzic, ale zamiast trafniejszego określenia „Pismo Święte”, użył bardziej ogólnikowego „zaćofanie”. Sam był zdecydowanym racjonalistą, ale chodził do kościoła, żeby być przykładem dla swoich dzierżawców. Czego dokładnie przykładem – trudno byłoby mu powiedzieć.

Trochę dalej, przy ścieżce pod drzewami spotkał drwała, niejakiego Martina, który wyrażał się dosadniej, jako że miał większy powód do skargi. Jego córka zapadła właśnie na pospolitą ostatnio w tej okolicy gorączkę, i dziedzic, który był gentlemanem o dobrym sercu, w zwykłych okolicznościach rozumiałby, że drwał ma prawo być przygnębiony i tracić panowanie nad sobą. Tym razem sam jednak niemal stracił je po raz drugi, bo wieśniak uparcie łączył swoją tragedię z tradycyjną monomanią na punkcie egzotycznych drzew.

– Gdyby się lepiej miała, zabrałbym ją gdzie indziej – powiedział drwał – bo ich zdaje się nie można ruszyć. Rad bym wbić w nie siekierę i poczuć, jak się wałą!

– Można by pomyśleć, że to smoki – zauważył Vane.

– Bo też tak wyglądają – odparł Martin. – Niech no jaśnie pan patrzy.

Drwał był z natury osobnikiem bardziej gruboskórnym, a nawet dzikszym od ogrodnika. Jego twarz również była śniada i wyglądała jak starożytny pergamin otoczony niezwykle kompozycją kruczoczarnych baków i brody, które tak naprawdę nosiło się pięćdziesiąt lat wcześniej, ale które równie dobrze mogły liczyć sobie pięć tysiącleci albo i więcej. Miało się wrażenie, że tylko Fenicjanie, docierający do tych dalekich wybrzeży o poranku świata, potrafili czesać, układać albo zaplatać swoje granatowo-czarne włosy w równie oryginalne fryzury. Ta mała wysepka populacji stanowiła bowiem najdalszy zakątek Kornwalii, tak jak Kornwalia jest najdalszym zakątkiem Anglii; było to tragiczne, wyjątkowe plemię, małe i spokrewnione ze sobą jak celtycki klan. Klan ten był starszy niż rodzina Vane'a, choć i ona była starożytna jak na ziemiańskie rodziny. W większości takich okolic bowiem Anglia to jedynie arystokraci, którzy są tam najświeższymi przybyszami. Był to zatem jeden z tych typów ludzkich, które uważa się za wymierające, a może już wymarłe.

Fatalne drzewa wznosiły się kilkaset metrów od drwała, który wymachiwał w ich kierunku siekierą; w użytym przez dziedzica porównaniu było coś sugestywnego. Nawet wybrzeże, wysunięte ku zachodowi, samo w sobie było fantastyczne niczym chmura podnosząca się na zachodzie. Wecinało się w szmaragdowe albo błękitne morze żłobionymi rogami i grzebieniami, które rzeczywiście mogłyby stanowić odlew albo formę jakichś kostropatych gadów; wewnątrz zaś pełne było jaskiń i szczelin jakby wydrążonych przez gigantyczne potwory. Ponad tą smoczą architekturą łądu przejrzystsza zasłona szarego lasu wisiała niczym opar; był to las, który, jak to zwykle bywa, pod wpływem magicznej siły morza wykoślawił się i zmarniał. Na prawo drzewa rosły wzdłuż wybrzeża wyciągniętym szeregim, a każda

sylwetka rysowała się na tle nieba cienką, szaloną kreską przypominającą karykaturę. Na drugim końcu skupiska przygarbione drzewa tłoczyły się ciasno, tworząc las ciągnący się ku wysuniętej części wysokiego brzegu. To właśnie tam widniała atrakcja, ku której niemal odruchowo zwracało się tyle oczu i myśli.

Pośrodku niskiej i mniej więcej poziomej linii lasu wznosiły się trzy osobne pnie, które wystrzelały i pięły się pod niebo jak latarnia morska wśród fal albo wieża kościoła nad dachami domów. Tworzyły kępę złożoną z trzech położonych blisko siebie kolumn, które równie dobrze mogły być rozwidleniem jednego pnia, jako że ich podstawa ginęła w gęstwinie otaczającego je lasu. Wszystko w ich wyglądzie kojarzyło się z egzotyką i krajami południa, bardziej niż cokolwiek innego nawet na tym ostatnim przylądku Brytanii, wysuniętym najdalej w stronę Hiszpanii i Afryki, oraz południowych gwiazd. Skórzaste liście, które rozwinęły się wcześniej od otaczającej żółtozielonej mgiełki lasu, były w innym, mniej naturalnym odcieniu zieleni, przechodzącym w błękit jak u zimorodka. Można było siłą wyobraźni zobaczyć w nich luski trójgłowego smoka górującego nad stłoczoną gromadą spłoszonego bydła.

— Bardzo mi przykro z powodu choroby waszej córki — powiedział krótko Vane. — Ale doprawdy... — po czym zamaszystym krokiem ruszył stromą drogą w dół.

Lódka była już przywiązana do małego kamiennego mola, a przewoźnik, młodszy sobowtór drwala — i w rzeczywistości siostrzeniec tego pożytecznego malkontenta — pozdrowił swego ziemskiego pana z ponurą ceremonialnością właściwą dla tej rodziny. Dziedzic odpowiedział na powitanie od niechcenia i zaraz zapomniał o tym podobnych sprawach, ściskając rękę gościa, który właśnie wyszedł na brzeg. Gość był wysokim, niezgrabnym człowiekiem, bardzo chudym jak na swój młody wiek, a jego pociągłe, szlachetne rysy zdawały się zbudo-

wane z samych tylko nerwów i kości, i w pewnym sensie kontrastowały z włosami, których jaskrawożółte kępki wylaniały się nad zapadniętymi skroniami spod ronda białego, letniego kapelusza. Ubranie miał eleganckie i w doskonałym guście, choć przybywał wprost z długiej morskiej podróży; w rękę zaś trzymał coś, co podczas długich europejskich wojaży i jeszcze dłuższych europejskich wizyt właściwie oduczył się już nazywać sakwojażem.

Pan Cyprian Paynter był Amerykaninem mieszkającym we Włoszech. Można by było o nim powiedzieć o wiele więcej, bo to bardzo bystry i obyty gentleman; zdaje się jednak, że te dwa fakty zawierały w sobie prawie całą resztę. Zapelniając swój umysł niczym muzeum cudami Starego Świata, które oświeclało jak okno zdumienie właściwe dla Nowego Świata, Paynter odziedziczył coś z wyjątkowego krytycznego stanowiska Ruskina i Patera¹, a także zyskał sławę jako odkrywca pomniejszych poetów. Był rozważny i nie kreował wszystkich mniejszych poetów na większych proroków. Jeśli wśród jego gości zdarzały się labędzie, to nie wszystkie uznawał za Labędzie z Avonu². Naraził się nawet na śmiertelne podejrzenie o klasycyzm z powodu sporu z młodszymi kolegami-poetami, przedstawicielami interpunktyzmu, którzy tworzyli wersy składające się wyłącznie z przecinków i myślników. Bardziej ludzką sympatią darzył współczesne płomie nie wzniecane z żaru celtyckiej mitologii i w rzeczywistości to właśnie pojawienie się nowego kornwalijskiego poety, niejako odpowiednika nowych poetów irlandzkich, spowodowało go tym razem do Kornwalii. Był co prawda zbyt dobrze wychowany, by dać odczuć swemu gospodarzowi, że przybył w pogoni za innymi przyjemnościami

1 John Ruskin (1819-1900) i Walter Pater (1839-1894) – angielscy krytycy sztuki, przedstawiciele estetyzmu, głoszącego ideę sztuki dla sztuki (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

2 Przydomek Shakespeare'a, nadany mu przez Bena Jonsona, nawiązujący do miejsca urodzenia poety nad rzeką Avon i do greckiego wierzenia, że dusze poetów wstępują w labędzie.

niż gościnność jego domu. Vane, którego Paynter poznał na Cyprze jeszcze w czasach jego niedyplomatycznej dyplomacji, od dawna zapraszał go do siebie; nie miał jednak świadomości, że znajomość została odnowiona dopiero po przeczytaniu przez krytyka tomu *Merlin i inne wiersze* autorstwa nowego poety nazwiskiem John Treherne. Dziedzic nie miał zielonego pojęcia o zabiegach jeszcze bardziej dyplomatycznej dyplomacji, dzięki której został przekonany do zaproszenia lokalnego barda na obiad dokładnie w dniu przyjazdu Amerykanina.

Pan Paynter stał nadal z sakwojażem w ręku, spoglądając w transie szczerego podziwu na poszarpane urwiska zwieńczone szarym, pokracznym lasem i dodatkowo udekorowane trzema fantastycznymi drzewami.

– Czuję się jak rozbitek w krainie czarów – powiedział.

– Mam nadzieję, że nie rozbił się pan za bardzo – odparł jego gospodarz z uśmiechem. – Jake chyba dobrze się panem zajął.

Pan Paynter spojrział w kierunku przewoźnika i też się uśmiechnął.

– Obawiam się – rzekł – że nasz przyjaciel nie podziela mojego entuzjazmu dla tutejszego krajobrazu.

– Zgaduję, że chodzi o drzewa – odparł dziedzic znużonym głosem.

Przewoźnik zazwyczaj wykonywał zawód rybaka, ale ponieważ jego dom, zbudowany z czarnego, smołowanego drewna stał wprost na nabrzeżu kilka metrów od mola, zazwyczaj w takich przypadkach zatrudniano go do przewożenia gości. Był to duży, czarnobrewy młodzieniec, zwykle milczący, ale teraz coś kazało mu się odezwać.

– Bo to, jasnie panie – zaczął – każdy wie, że coś jest nie tak. Każdy wie, że drzewa nad morzem są marne i powykręcane, jeśli to tylko drzewa. A te badyle sterczą jak jakieś piekielne wodorosty, co to w ogóle nie powinny rosnąć na suchym lądzie. To coś jak... jakiś przekłety wąż morski, co wyszedł na brzeg i wszystko pożera, jasnie panie.

– Krąży tu jakaś głupia legenda – wyjaśnił opryskliwie dziedzic. – Ale zapraszam na górę, do ogrodu. Chcę pana przedstawić mojej córce.

Gdy jednak dotarli do stołu pod drzewem, na pozór nieporuszona młoda dama mimo wszystko gdzieś się ruszyła i upłynęła dłuższa chwila, zanim trafili na jej ślad. Chwilę wcześniej dziewczyna podniosła się, chociaż niespiesznie, i powoli ruszyła ścieżką wiodącą brzegiem tarasowego ogrodu, spoglądając ku niższej ścieżce, która w tym miejscu zbliżała się do głównej polaci nadbrzeżnego lasu.

Jej niespieszne ruchy nie były przejawem słabości, ale raczej pełni życia, jak u na wpół obudzonego dziecka; mogłoby się здаwać, że młoda kobieta przeciąga się i cieszy wszystkim, nie zauważając niczego. Minęła las, w którego szarą gęstwinę zagłębiała się pojedyncza biała ścieżka, niknąca w czarnym otworze. Wzdłuż tej części tarasowego ogrodu biegło coś w rodzaju niskiego bastionu czy też balustrady, od czasu do czasu ocienionej kwietnymi pergolami; dziewczyna przechyliła się przez parapet i patrzyła w dół na morze prześwitujące zza kępy drzew i na drugą krętą ścieżkę, opadającą ku molu i chacie przevoźnika na brzegu.

Kiedy tak patrzyła sennym wzrokiem, spostrzegła jakąś nieznana postać wspinającą się energicznie ścieżką, najwyraźniej od strony rybackiej chaty; tak energicznie, że chwilę potem wychynęła spomiędzy drzew i znalazła się tuż obok, na ścieżce poniżej. Była to nie tylko postać jej obca, ale także sama w sobie wyglądająca dość obco i dziwacznie. Był to mężczyzna wciąż jeszcze młody, jakimś cudem wyglądający młodziej niż własne ubranie, które było nie tylko wyświechtane, ale także staromodne; pospolite z wyglądu, ale noszone w niepospolity sposób. Mężczyzna miał na sobie coś, co wyglądało na lekki nieprzemakalny płaszcz, może dlatego, że wracał od morza; płaszcz ten zapięty był jednak tylko na jeden guzik pod szyją i zwisał z ramion, razem z rękawami i całą resztą, przypominając bardziej pelerynę niż zwykły

plaszcz. Przybysz opierał kościstą rękę na czarnej lasce; spod szerokoskrzydłego kapelusza wyłykały się pojedyncze kosmyki czarnych włosów. Jego twarz, śniada, choć sama w sobie raczej przystojna, wykrzywiona była czymś, co można by wziąć za uśmiech zakłopotania, gdyby do złudzenia nie przypominało grymasu szyderstwa.

Barbara Vane nie mogła odgadnąć, czy ten zwid jest włóczęgą, nieproszonym gościem czy też przyjacielem rybaków albo drwali. Mężczyzna, nadal z niezmiennym i dość nieprzyjemnym uśmiechem, zdjął kapelusz i odezwał się grzecznie.

– Przepraszam, pan dziedzic prosił, żebyśmy przyszedł. – W tym momencie dostrzegł Martina, który przerzedzał chude drzewka na skraju ścieżki, i poufale zasalutował mu jednym palcem.

Dziewczyna nie wiedziała, co powiedzieć.

– Czy pan... czy pan w sprawie wycinania lasu? – spytała w końcu.

– Chciałbym być tak uczciwym człowiekiem – odparł nieznajomy.

– Martin jest, jak mi się wydaje, moim dalekim kuzynem; wie pani, my, Korwalińczycy, jesteśmy w tych stronach prawie wszyscy ze sobą spokrewnieni; ale ja nie zajmuję się wycinką lasu. Nie umiem wycinać niczego, może z wyjątkiem holubeów. Jestem, jeśli tak można powiedzieć, trubadurem.

– Kim? – spytała Barbara.

– Powiedzmy, wędrownym śpiewakiem – odparł nowo przybyły i spojrzał na nią przeciągle. W tej dość dziwnej chwili milczenia przyglądali się sobie nawzajem. Ona zobaczyła to, co zostało już odnotowane, choć – przynajmniej przez nią – ani trochę niezrozumiane. On zaś zobaczył zdecydowanie piękną kobietę o posągowej twarzy i włosach, które lśniły w słońcu jak miedziany hełm.

– Wie pani – ciągnął młodzieniec – że w tym historycznym miejscu setki lat temu śpiewak rzeczywiście mógł stać, gdzie ja stoję, a dama mogła wyglądać zza tej balustrady i rzucać mu pieniądze?

– Potrzebuje pan pieniędzy? – spytała, zagubiona w morzu domysłów.

– No cóż – wycedził nieznajomy – w tym sensie, że mi ich brakuje, być może, ale obawiam się, że nie ma dziś miejsca dla wędrownych śpiewaków, chyba że udają Murzynów. Muszę przeprosić za to, że nie uczernilem sobie twarzy.

Zaśmiała się trochę oszołomiona i powiedziała:

– Ach, nie sędzę, żeby to było potrzebne.

– Może uważa pani, że tubylecy są już wystarczająco ciemnoskórzy – zauważył mężczyzna spokojnie. – Ostatecznie jesteśmy aborygenami i tak się nas traktuje.

Dziewczyna rzuciła jakąś rozpaczliwą uwagę na temat pogody czy też widoku i zastanawiała się, co będzie dalej.

– Widok jest rzeczywiście piękny – zgodził się jej rozmówca w ten sam enigmatyczny sposób. – Tylko jedno budzi w nim moje wątpliwości.

A kiedy stała w milczeniu, wolno podniósł swoją czarną laskę niczym długi palec i wskazał wystające znad lasu pawie drzewa. Dziewczynę ogarnął dziwny niepokój, jakby samym gestem nieznajomy dokonywał aktu zniszczenia i mógł sprawić, że ogród zmarnieje.

Napięta i niemal bolesna cisza została przerwana przez głos dziedzica Vane'a, głośny, choć jeszcze odległy.

– Nie mogliśmy odgadnąć, gdzie się podziałas, Barbaro – wołał.

– Oto mój przyjaciel, pan Cyprian Paynter. – W następnej chwili zobaczył nieznajomego i zatrzymał się, nieco zmieszany. Tylko pan Cyprian Paynter potrafił sprostać sytuacji. Kilka miesięcy wcześniej widział portret nowego kornwalijskiego poety w jakimś amerykańskim piśmie literackim i znalazł się, ku własnemu zdumieniu, w roli przedstawiającego zamiast przedstawianego.

– Ależ, panie Vane – odezwał się niewymownie zdumiony – nie zna pan pana Treherne’a? Sądziłem, że muszą panowie być sąsiadami.

– Cieszę się, że pana widzę, panie Treherne – powiedział dziedzic, odzyskując dobre maniery z życzliwym zmieszaniem. – Tak mi miło, że mógł pan nas odwiedzić. To jest pan Paynter... moja córka – i odwróciwszy się z właściwym sobie podnieconym zażenowaniem, ruszył przodem do stołu pod drzewem.

Cyprian Paynter ruszył jego śladem, obracając w myślach zagadkę, która zaskoczyła go pomimo doświadczenia. Amerykanin, choć należał do intelektualnej arystokracji, w sensie społecznym i podświadomym pozostał demokratą. Nigdy nie przyszło mu na myśl, że to poeta powinien czuć się zaszczycony poznaniem dziedzica, a nie dziedzic poznaniem poety. Uczciwie protekcyjnalny ton gościnności Vane’a sprawił, że Paynter mimo wszystko poczuł się w Anglii wygnanцем na obczyźnie.

Przewidując, że obiad w towarzystwie nieznanego literata będzie nie lada wyzwaniem, dziedzic zajął się sprawą z własnego punktu widzenia całkiem taktownie. Miejscowa śmietanka towarzyska mogłaby sprawić, że gość poczulby się jak ryba wyjęta z wody, gospodarz zdecydował zatem, że jeśli nie liczyć amerykańskiego krytyka oraz miejscowego prawnika i doktora – szacownych przedstawicieli klasy średniej pasujących do całości – będzie to przyjęcie rodzinne. Vane był wdowcem, więc gdy nakryto stół w ogrodzie, honory pani domu pełniła Barbara. Po jej prawej ręce zasiadał nowy poeta, co wprawiało ją w nie lada zakłopotanie. Chwilę wcześniej niemal zaproponowała zwodniczemu trubadurowi pieniądze, co nie ułatwiało proponowania mu obiadu.

– Cała okolica zwariowała – zaanonsował dziedzic, jakby była to najświeższa miejscowa nowina. – To przez tę naszą piekielną legendę.

– Zbieram legendy – stwierdził z uśmiechem Paynter. – I proszę pamiętać, że tutejsza nie trafiła jeszcze do mojego zbioru. A to wszyst-

ko – dodał, rozglądając się po romantycznym wybrzeżu – jest wspaniałą scenerią dla dramatycznych wydarzeń.

– Och, w pewnym sensie legenda jest dramatyczna – przyznał Vane nie bez drobnej satysfakcji. – Chodzi o te tam, jak mówimy, pawie drzewa; nazwa wzięła się chyba od dziwnego koloru liści, chociaż słyszałem, że przy silnym wietrze wydają przenikliwy dźwięk, który ma przypominać wrzask pawia; zdaje się, że budową przypominają bambus. Otóż drzewa te podobno przywiózł z Berberii mój przodek, sir Walter Vane, jeden z elżbietańskich patriotów czy też, jeśli wolicie, piratów. Powiadają, że po jego ostatniej wyprawie wieśniacy zebrani na plaży, tam, w dole, zobaczyli zbliżającą się do lądu łódź, w której młode drzewka sterczały niczym maszt powiewający niespotykanym o tej porze roku listowiem, wyglądającym jak oflagowanie. I kiedy tak patrzyli, pomyśleli najpierw, że łodzią ktoś dziwnie steruje, a potem, że nie steruje nią nikt; a kiedy wreszcie dotarła do brzegu, wszyscy w łodzi okazali się martwi, a sir Walter Vane z obnażoną szpadą opierał się o pień drzewa, sztywny jak ono samo.

– Jakie to dziwne – zauważył Paynter w zamyśleniu. – Powiedziałem wam, że zbieram legendy i zdaje się, że potrafie opowiedzieć wam początek historii, której ta opowieść jest zakończeniem, choć moja historia pochodzi zza morza, z krainy oddalonej o setki mil.

Stukał w zamyśleniu w blat stołu szczupłymi, zwięzającymi się palcami, jak człowiek, który próbuje sobie przypomnieć melodię. Takie historie rzeczywiście były jego hobby i nie potrafił nie chlubić się tym, że opowiada je, dodając im szczyptę sztuczności.

– Proszę nam opowiedzieć pańską część! – zawołała Barbara, którą do pewnego stopnia opuściła słoneczna senność.

Amerykanin skłonił się jej przez stół z autentyczną grzecznością, a potem, bawiąc się dziwnym sygnetem na jednym z długich palców, zaczął mówić:

— Jeśli pojedziecie państwo na Wybrzeże Berberyjskie, tam, gdzie ostatni klin lasu wcina się między pustynię i wielkie, pozbawione przypływów morze, spotkacie tubylców, którzy do dziś opowiadają dziwną historię o świętym żyjącym w okresie wieków ciemnych. Tam, na spowitej półmrokiem granicy ciemnego kontynentu, można poczuć, czym były wieki ciemne. Odwiedziłem to miejsce tylko raz, chociaż leży ono niejako *vis-à-vis* włoskiego miasta, w którym mieszkalem przez lata. Nie uwierzilibyście jednak państwo, jak ten dziwny mit, pełen rozgardiaszu i reinkarnacji, wydawał się o wiele mniej szalony niż w rzeczywistości, gdy tuż obok siebie miało się las rozbrzmiewający w nocy rykami lwów, a za sobą czerwone odludzie pustyni. Powiadają, że mnich, święty Securius, mieszkający wśród drzew, pokochał je jak braci; bo choć były one wieloramiennymi olbrzymami jak Briareus³, stanowiły równocześnie najłagodniejsze i najniewinniejsze ze stworzeń; nie pożerały innych jak lwy, ale raczej otwierały swoje liczne ramiona dla małych ptasząt. Modlił się więc, żeby wolno im było od czasu do czasu przechadzać się jak innym stworzeniom. I modlitwa Securiusa poruszyła drzewa, tak jak niegdyś poruszyły je pieśni Orfeusza. Mieszkańcy pustyni drżeli z przerażenia na widok świętego, który przechadzał się w towarzystwie zagajnika niczym nauczyciel w towarzystwie swej klasy. Drzewa bowiem uwalniane w ten sposób podlegały surowej dyscyplinie. Musiały wracać na dźwięk dzwonu z pustelni, a przede wszystkim miały naśladować dzikie zwierzęta tylko w chodzeniu, nie wolno im było niczego niszczyć ani pożerać. Otóż powiadają, że jedno z drzew usłyszało głos inny niż głos pustelnika; że w ciepłym zielonym półmroku pewnego letniego wieczoru drzewo to zdało sobie sprawę z czegoś, co siedziało w jego gałęziach i przemawiało do niego pod postacią wielkiego ptaka, i że

3 W mitologii greckiej – jeden ze sturękich, synów Uranosa i Gai, uwięzionych przez ojca w Tartarze.

była to ta sama istota, która kiedyś przemawiała z drzewa pod postacią wielkiego węża. Kiedy głos rozbrzmiewał coraz głośniejszemu wśród liści, drzewem wstrząsnęło naraz wielkie pragnienie, by wyciągnąć gałęzie i schwytąć ptaki uwijające się niewinnie wokół gniazd i rozerwać je na strzępy. Wreszcie kusiciel napelnił czubek drzewa swoimi własnymi pysznymi ptakami, gwiaździstym korowodem pawi. I duch bestii zawładnął duchem drzewa, tak że rozszarpało i pożarło błękitno-zielone ptaki, aż nie zostało z nich choćby piórko, a potem wróciło do milczącego plemienia drzew. Ale powiadają, że kiedy przyszła wiosna, wszystkie drzewa pokryły się liśćmi, ale to jedno pokryło się wzorzystymi piórami dziwnej barwy. I dzięki tej potwornej asymilacji święty dowiedział się o grzechu i przykuł to drzewo z powrotem do ziemi, ogłaszając wyrok, by zło spotkało każdego, kto spróbuje ruszyć je z miejsca. Oto, panie Vane, jak na pustyni zaczęła się opowieść, która skończyła się tu, niemal w tym ogrodzie.

– I zakończenie to jest moim zdaniem tak samo wiarygodne jak początek – odezwał się Vane. – Pańska historia to miła, prosta opowieść na południowe przyjęcie; mały, spokojny landszaftik, chciałem powiedzieć.

– Cóż za dziwna, okropna historia! – wykrzyknęła Barbara. – Sprawia, że człowiek czuje się jak kanibal.

– *Ex Africa* – zauważył z uśmiechem prawnik. – Ta historia pochodzi z kraju kanibali. Zdaje się, że ma murzyńskie korzenie; to koszmarnie uczucie, kiedy nie wiadomo, czy bohater opowieści jest rośliną, człowiekiem czy diabłem. Czy „Wujek Remus” nie robi czasem podobnego wrażenia?

– To prawda – odparł Paynter. – Szczera prawda. – I spojrzał na prawnika z nowym zainteresowaniem. Prawnika, który został przedstawiony jako pan Ashe, był jednym z tych ludzi, którzy bardziej zasługują na spojrzenie, niż się to wydaje większości patrzących. Gdyby Napole-

on był rudy i gdyby z dziwnym upodobaniem skupił wszystkie swoje siły na drobnych prowincjonalnych procesach sądowych, zapewne wyglądałby podobnie; głowa o rudych włosach była ciężka i mocna, natomiast postać w ciemnym, zwyczajnym ubraniu raczej niepozorna, zupełnie jak u Napoleona. Prawnik czuł się chyba swobodniej w towarzystwie dziedzica niż doktora, który także był gentlemanem, ale nie śmiałym i wyglądającym zaledwie jak cień drugiego profesjonalisty.

– Jak pan słusznie zauważył – ciągnął Paynter – opowieść ma w sobie elementy barbarzyńskie, prawdopodobnie murzyńskie. Wydaje mi się jednak, że na początku istniała faktycznie jakaś hagiograficzna historia o pustelniku, choć niektórzy bardziej wyrafinowani krytycy twierdzą, że święty Securius nigdy nie istniał i stanowił jedynie alegorię leśnictwa, skoro jego imię po łacinie znaczy „topór”.

– Ach, jeśli o to idzie – zauważył poeta Treherne – to mógłby pan równie dobrze powiedzieć, że dziedzic Vane nie istnieje i że jest jedynie alegorią chorągiewki na dachu⁴.

Jakiś cień bezczelności w tej ripostie sprawił, że rude brwi prawnika zbliżyły się do siebie. Spojrzał poprzez stół i napotkał dość dwuznaczny uśmiech poety.

– Czy mam rozumieć, panie Treherne – spytał Ashe – że podtrzymuje pan cudowne roszczenia świętego Securiusa w tej sprawie? Czy przypadkiem wierzy pan w chodzące drzewa?

– Widzę ludzi jako chodzące drzewa – odrzekł poeta – niczym uzdrowiony ślepiec z Ewangelii. A tak przy okazji, zdaje się, że podtrzymuje pan cudowne roszczenia tego... czarownika?

Paynter zainterweniował szybko i łagodnie:

– To niezwykle interesujący przyczynek do psychologii. Widzi pan ludzi jako drzewa?

4 Vane to po angielsku właśnie chorągiewka na dachu.

– Skoro nie potrafię sobie wyobrazić, dlaczego ludzie mieliby chodzić, nie mogę sobie wyobrazić, dlaczego nie miałyby tego robić drzewa – odparł Treherne.

– Oczywiście wynika to z ich natury – wtrącił przedstawiciel medycyny, doktor Burton Brown – jest to konieczność wynikająca z samego typu budowy roślin.

– Innymi słowy drzewo tkwi w błocie rok po roku – odpowiedział Treherne – podobnie jak pan tkwi w swoim gabinecie dzień po dniu, od dziesiątej do jedenastej. A nie wydaje się panu, że wróżka, która zajrzałaby w pańskie okno po przeskoczeniu księżyca i zabawie w kółko graniaste z Plejadami, uznałaby pana za organizm roślinny i stwierdziła, że siedzenie nieruchomo wynika z samego typu pańskiej budowy?

– Tak się składa, że nie wierzę we wróżki – odparł doktor raczej sztywno, bo argument *ad hominem* stawał się zdecydowanie za częsty. Gorący, podświadomy gniew zdawał się promieniować od ciemnego poety.

– I tego bym się po panu spodziewał, doktorze – zaczął dziedzić swoim tubalnym, przyjaznym głosem, ale zaraz urwał, widząc, że coś zaprzątnęło uwagę zebranych. Obsługujący gości milczący kamerdyner zjawił się za krzesłem doktora i mówił coś do niego ściszonej, spokojnym głosem dobrze wyszkolonego służącego. Kamerdyner był tak gładkim przedstawicielem swego rodzaju, że z początku nikt nie zauważył, iż on także stanowi odbicie – co prawda pokrytego werniksem – śniadego portretu widywanego tak często w tym konkretnym rodzie kornwalijskich Celtów. Cerę miał ciemną, a nawet żółtą, włosy zaś czarne z odcieniem indygo. Znany był jako Miles. Niektórzy czuli się przytłoczeni plemiennym typem urody tego zakątka Anglii. Mieli takie wrażenie, jakby wszystkie te ciemne twarze były maskami tajemnego stowarzyszenia.

Doktor podniósł się i powiedział na wpol przepraszająco:

– Proszę wybaczyć, że zakłócam tak miłe przyjęcie; wzywają mnie obowiązki. Proszę pozostać na miejscach. Musimy być gotowi na tego rodzaju sprawy, rozumiem państwo. Być może pan Treherne przyzna, że moje nawyki nie są koniec końców tak bardzo roślinne – i wypuściwszy tę partyjską strzałę, która wywołała nieco śmiechu, oddalił się szybkim krokiem przez słoneczny trawnik ku drodze opadającej w kierunku wsi.

– Doktor jest taki dobry dla biednych – odezwała się Barbara z nabożną powagą.

– Pierwszorzędny gość – zgodził się dziedzic. – Gdzie jest Miles? Zapali pan cygaro, panie Treherne? – Dziedzic wstał, reszta poszła w jego ślady i goście rozeszli się po trawniku.

– Godny uwagi ten Treherne – zagadnął Amerykanin do prawnika.

– Godny uwagi to właściwe słowo – zgodził się Ashe raczej ponuro.

– Ale nie wydaje mi się, żebym chciał wygłaszać o nim jakieś uwagi.

Dziedzic, zbyt niecierpliwy, by czekać na żółtoskórego Milesa, udał się do domu po cygara, a Barbara, przechadzająca się po tarasowym ogrodzie, raz jeszcze znalazła się w towarzystwie poety; tym razem jednak, dość symbolicznie, znajdowali się oboje na tym samym poziomie trawnika. Pan Treherne wyglądał mniej ekscentrycznie po zrzućeniu swojej osobliwej peleryny i robił wrażenie osoby cichszej i bardziej zwyczajnej.

– Nie chciałam być dla pana niegrzeczna – odezwała się nagle dziewczyna.

– I to właśnie jest najgorsze – odparł literat – bo okropnie się boję, że ja chciałem być niegrzeczny dla pani. Kiedy spojrzałem w górę i zobaczyłem panią, zbudziło się we mnie coś, co istniało we wszystkich rewolucjach świata. Ach, było w tym również wiele podziwu! Być może wszyscy ikonoklaści byli idolatrami.

Człowiek ten miał zdolność przechodzenia do dość intymnej rozmowy jednym cichym, kocim skokiem, podobnie jak pokonywał stromą ścieżkę, i to sprawiło, że Barbara wyczuła w nim pewne niebezpieczeństwo i może brak skrupułów. Nagle zmieniła temat rozmowy, nie bez chęci pokierowania nią tak, by zaspokoić własną ciekawość.

– Co naprawdę CHCIAŁ pan powiedzieć, mówiąc o chodzących drzewach? – spytała. – Niech pan nie mówi, że naprawdę wierzy pan w magiczne drzewa zjadające ptaki.

– Bardziej zaskoczyłoby panią – odparł Treherne poważnie – to, w co nie wierzę, niż to, w co wierzę.

A potem, po chwili milczenia, wykonał niesprecyzowany gest w kierunku domu i ogrodu.

– Obawiam się, że nie wierzę w to wszystko; na przykład w elżbietzańskie domy i elżbietzańskie rodziny, w sposób unowocześniania posiadłości, i tak dalej. Weźmy na przykład naszego znajomego drwala – tu wskazał na mężczyznę z dziwaczną czarną brodą, który w dole nadal ścinał siekierą pnie drzew. – Jego rodzina istniała od wieków, a w okresie, który określacie jako wieki ciemne, była o wiele bogatsza i swobodniejsza niż teraz. Proszę zaczekać, aż kornwalijski chłop napisze historię Kornwalii.

– Ale co, na Boga – spytała dziewczyna – ma to wspólnego z tym, czy wierzy pan w drzewa jedzące ptaki?

– Dlaczego miałbym pani wyznać, w co wierzę? – odpowiedział pytaniem, a w jego głosie zabrzmiał tłumiony werbel buntu. – Arystokracja przyszła i zabrała nam ziemię, zabrała nam pracę, zabrała nam nasze zwyczaje. A teraz, po wyzysku, jeszcze nikiemniejsza rzecz: wykształcenie! Koniecznie chcą nam odebrać nasze sny!

– No cóż, ten sen był w każdym razie dość koszmarny, prawda? – spytała Barbara z uśmiechem, w następnej chwili jednak spoważnia-

ła i odezwała się prawie z niepokojem: – Ale proszę spojrzeć, doktor Brown wraca. Wygląda na bardzo zmartwionego.

Rzeczywiście, czarna sylwetka doktora na tle zielonej trawy zbliżała się ku nim bardzo pośpiesznym krokiem. Jego postać i krok wydawały się o wiele młodsze od twarzy, jakby przedwcześnie pobruźdzonej zmartwieniami; jego лыsa czaszka górowała nad czarnymi, prostymi włosami okalającymi ją z tyłu. Był wyraźnie bledszy niż wtedy, gdy wstawał od obiadu.

– Przykro mi to mówić, panno Vane – powiedział – ale mam złe nowiny dla biednego Martina, tego drwala. Jego córka zmarła pół godziny temu.

– Och! – wykrzyknęła Barbara. – TAK mi przykro!

– I mnie także – powiedział doktor i ruszył dość gwałtownie dalej; zbiegł po kamiennych stopniach między kamiennymi urnami i zobaczyli, że rozmawia z drwalem. Nie widzieli twarzy wieśniaka. Stał do nich plecami, zobaczyli jednak coś, co wydawało się bardziej poruszające niż jakakolwiek zmiana mimiki. Mężczyzna uniósł wysoko nad głowę rękę z siekierą i przez chwilę wydawało się, że ma zamiar powalić doktora. Ale w rzeczywistości nie patrzył na niego. Twarz miał zwróconą w kierunku urwistego brzegu, gdzie nad skarłałym lasem unosiły się stromo olbrzymie i ozłocone słońcem drzewa pychy.

Silna, brunatna dłoń wykonała zamach i została pusta. Siekiera poleciała, błyskawicznie koziołkując w powietrzu, jej ostrze rysowało srebrny półksiężyc na tle szarych drzew. Nie osiągnęła swego wyniosłego celu, tylko spadła w poszycie, płosząc bezładną gromadę ptaków. Ale w pamięci poety, pełnej pierwotnych zjawisk, coś zdawało się mówić, że patrzy na ptaki jakiejś pogańskiej przepowiedni i topór jakiejś pogańskiej ofiary.

W chwilę potem mężczyzna ruszył ciężko naprzód, jakby chcąc odzyskać swoje narzędzie, ale doktor położył mu rękę na ramieniu.